

Co się stało z „Jutrzenką”?

Tajemnica olbrzymiego djamentu

Małe miasteczko sycylijskie Brescova jest odległe o 20 km. od Palermo i stanowiło dotychczas cel wycieczek dla licznych turystów. Magnesem przyciągającym zwiedzających był prześliczny stary kościół w Brescova, wzniesiony podczas wojen krzyżowych. Ale nietylko starożytność kościoła jest atrakcją powodującą liczną pielgrzymkę — osobliwością jego był wspaniały, świecący błękitnym blaskiem djament, umieszczony na głównym ołtarzu w skromnej szkatułce, dostępny jednakże oczom wszystkich.

Oczywiście, że wartość djamentu była olbrzymia, a pochodzenie jego było bardzo ciekawe, gdyż djament przywieziony został z Ziemi Świętej przez jednego z rycerzy krzyżowych i złożony jako dar dziękczynny za szczęśliwy powrót — we wzniesionym przez ofiarodawcę kościele.

DJAMENT ZNIKA

Ale pewnego ranka w Brescova rozszedła się alarmująca wiadomość, że ów bezcenny djament, zwany „Jutrzenką” dla swego błękitnego blasku, zniknął. Miejsca policja wszczęła natychmiastowe śledztwo, które wykazało, że przed paru dniami przybył do Brescova jakiś turysta, który włóczył się po okolicy i kilkakrotnie odwiedzał kościół. Wobec tego wszczęto poszukiwanie i roz poczęto pogoń za nieznanym turystą, ale ponieważ policja sycylijska działała naogół dość opieszale, pościg trwał kilka dni, zanim wreszcie schwytano posądzonego o kradzież djamentu turystę w Palermo.

Na szczęście, jak się okazało, rabuś djamentu miał jeszcze przy sobie bezcenny klejnot, nie zdążył go sprzedać, gdyż zbicie tak olbrzymiego kamienia nie należało do łatwej historii.

IMITACJA?

Djament odebrany turystę został zatrzymany przez policję kryminalną, która powzięła pewne podejrzenia co do prawdziwości kamienia. Podejrzenia te okazały się słuszne, gdyż zawieziony jako rzeczoznawca jubiler orzekł stanowczo, że nie jest to djament tylko poprostu zwykła imitacja. Kawał grubego szkła, zręcznie o szlifowanym zastępował więc w kościele w Brescova ów słynny i bezcenny djament. Przypuszczenie, jakoby złodziej zdążył sporządzić imitację kamienia, upadło, gdyż rabuś nie miał sposobności zamówienia w Palermo ani nawet na całej Sycylii imitacji kamienia tak znanego i cennego.

WYJAŚNIENIE TAJEMNICY

Ale wreszcie tajemnica wydała się. Dyrektora policji w Palermo zjawił się proboszcz kościoła w Brescova i wyznał ku niepomniemu zdziwieniu wszystkich, że to on właśnie, on zabrał autentyczny kamień i zastąpił go imitacją. Jako świadek, że w istocie tak postąpił, zawiązał właścicieli jednego z największych magazynów jubilerów, którzy potwierdzili oświadczenie proboszcza, dodając, że w istocie nabyli oni cenny klejnot i odsprzedając go następnemu jednemu z milionerów amerykańskich. Na życzenie księdza proboszcza wykonali imitację,

k którą złożoną została w kościele. Dlaczego ksiądz proboszcz przy kościele w Brescova dokonał tej transakcji — nastąpiły dalsze wyjaśnienia. Sprzedaż kamienia miała miejsce w roku 1919, t. j. w tym okresie, kiedy miasteczko Brescova i cała okolica cierpiała niesłychaną nędzę i głód. Ludzie padali prosto z wycieńczenia szerzyły się okrutne choroby. I w tym właśnie czasie ks. proboszcz pojechał do miasta, do Palermo, i przywiózł stamtąd pieniądze, które pozwoliły mu ratować od śmierci głodowej jego parafian. Ponadto rozporządzał dużymi sumami, ufundował szkołę w Brescova, które dotychczas liczyło bardzo wielu analfabetów, a pozatem wznosił szpital. Te wszystkie subwencje wpłynęły niezmiernie na poprawę doli mieszkańców Brescova, zniknęła nędza, ludzie przestali

umierać z głodu, a przecież nikt nie wiedział i tak, że świecący, błękitnym blaskiem djament, spożywający w starym kościele, nie jest wcale owym djamentem. Nikomu nie to nie szkodziło i prawdopodobnie nigdy nie wyszło by to wszystko na jaw, gdyby nie owa kradzież, popełniona przez turystę.

Ks. proboszcz opowiedział historię djamentu, zwrócił się do swoich wiernych z prośbą o przebaczenie, że bez pytania pozbawił miasteczko tak cennego klejnotu. Jednakże Brescova ocenili doniosłość humanitarnych poczynań proboszcza, jakie podjął za dobyte w ten sposób pieniądze, zrozumieli doskonale, że w ten sposób ocalił ich od śmierci głodowej.

Imitację djamentu złożono spowrotem w kościele.

Dzień powszedni na oceanie

na polskim statku transatlantyckim

Turyści obdarzeni są zdolnością asymilacyjną w znacznie większym stopniu, niż ludzie, spędzający czas w ciasnych murach swego rodzinnego miasta. Dzięki temu, znalazłszy się na pokładzie statku, już po kilku godzinach nie tylko czują się jak u siebie w domu, lecz z zupełną swobodą odychają atmosferą statku, wchłaniają specyficzny nastrój życia pokładowego, tak niezwykły, tak odmienny od wszystkiego, co jest związane z pobytom na lądzie.

Twórcy statku i jego załoga nie szczędzą wysiłku, aby jaknajbardziej uprzyjemnić pasażerowi pobyt na statku transatlantyku, aby z wielkiej pływającej budowli uczynić coś naksztalt luksusowego hotelu, gdzie wszystkie urządzenia przystosowane są do wymagań nowoczesnego komfortu.

Również na pokładzie polskiego statku transatlantyckiego „Piłsudski” każdy dzień nie tylko wypełniony zostanie urozmaiconym programem, ale przyniesie mnóstwo ciekawych wrażeń i obfitować będzie w szereg atrakcji.

Dzień powszedni na statku rozpoczyna dyskretny, przytłumiony a przecież donośny głos gongu. W kabinie, urządzonej z dbałością o to, aby jaknajbardziej celowo wyzyskać każdą przestrzeń, pasażer znajdzie wszystko, co potrzebne jest do rannej toalety. Zimny prysznic, albo gorąca kąpiel we własnej łazience, pozwoli zapomnieć,

że to rano, spędzony na morzu a nie na lądzie. Szybko i sprawnie działającą windą dostać się można na pokład, mieszczący snale gimnastyczną: pięć minut dla zdrowia — rozprężenie mięśni na najnowszych przyrządach w dużej sali gimnastycznej — i można już udać się do jadalni na smaczne śniadanie.

Przy rannej kawie czeka już gazetka codzienna, wydawana na statku. Znajdzie w niej pasażer wszystkie nowości z kraju i całego świata, odebrane drogą radiową, oraz wiadomości z małego świata, jakim jest statek, na którym odbywa podróż. Gdyby zapragnął dowiedzieć się, jak czas spędzają inni pasażerowie, odbywający podróż tym samym statkiem — wystarczy połączyć się telefonicznie z daną kabiną lub salą. Po śniadaniu następuje partia tenisa na korcie pokładowym, kąpiel w basenie, odpoczynek i kąpiel powietrzno-słoneczna na leżaku „na pokładzie „Słonecznym”, dołce far-niente na jednej z pięknie urządzonej werand, dłuższa wizyta w bibliotece, gdzie przejrzyć można najnowsze pisma i poczytać swobodnie (biblioteka statku jest bogato zaopatrzona i starannie dobrane) i oto już pora lunchu, po którym czeka pasażera mnóstwo możliwości urozmaico-

wego spędzenia czasu. Jeśli pasażer jedzie w towarzystwie dziecka — prześlicznie urządzonej pokój dziecięcy, pełen gier i zabawek sprawi, że maleństwo będzie się czuło doskonale i dni spędzone na statku mając mu będą szybko. Popołudniu, po małej drzemce, niema kłopotu z reżystą pięknie rozpoczętego dnia. W sali widowiskowej statku wyświetla się bowiem najnowszy film, w barwach, których jest kilka. Orkiestra przygrywa podczas five'u, życie towarzyskie i gry pokładowe kwitną tu w różnych odmianach mające wyjątkowo dogodne warunki rozwoju.

W nowych, obszernych pomieszczeniach statku, zajętych tylko przez dwie klasy: turystyczną i trzecią — wszystkim jest wygodnie i wesoło. I nawet późno w nocy, gdy rozbawiony pasażer wraca do swej kabiny, nie zamąca mu snu koszmarny obraz pracujących na dnie okrętu palaczy — statek bowiem posuwa się równo, lekko, bez kłębów dymu i pary, poruszany siłą napędu ropnego i zaopatrzonego pod każdym względem w urządzenia, gwarantujące maksimum bezpieczeństwa.

— Naturalnie na pensji?

— Nigdzie w publicznym lokalu, panna Leroy, profesor literatury, musiała wystuć gorkich wymówek, bo ktoś opowiedział, że widziano ją palącą w kinie.

— Te panie muszą mieć trochę ciasne poglądy na życie — zażartowała Audrey.

— Rodziny uczenie strasznie się pod tym względem wymagające — odparła trochę zgorszona pani Turpin.

— Calais, to małe miasto. Moje dziecko, chciałabym jeszcze w tej sprawie... — zamknęła niezdeterminowana.

— Proszę powiedzieć o co chodzi. Mnie trzeba wszystko mówić.

— No, więc nie jesteśmy w Anglii. Życie tu toczy się mniej swobodnie. Pani pochodzi z wyspy, gdzie kwitnie przysłowie: „Honni soit qui mal y pense”. Tu jest kraj, gdzie każdy myśli: Co ludzie o tem powiedzą? — Umilkła na chwilę, zadowolona z formuły.

— Nie trzeba wychodzić na miasto z młodymi ludźmi — to znaczy sama z nimi — ani przyjmować ich u siebie.

— Nie znam nikogo.

— Prędko pokobi panie znajomości.

— Nie sądzę — czy Audrey patrzyły bardzo poważnie. — Widzi pani, pani jeszcze nic o mnie nie wie. Flirtem się brzydzę, mam dużo wad, ale moje wady nie należą do gatunku drobnych usterek. Jestem, jak się mówi we Francji, rozsądna. Gdybym nią była, wyszłabym za Herberta. Jestem zanadto dumna, zanadto całkowita, żeby być zupełnie do rzeczy. Nie wiem, czy tłumaczyć się dość jasno?

— Owszem, owszem, najzupełniej — odparła pani Turpin. — która nie rozumieją, czuła się jednak instynktownie uspokojona.

(C. d. n.).



Powrót

Rozlega się niecierpliwy dzwonek — to one. Wpadają, jak bomb-y i, miotając się po mieszkaniu, wydając gwałtowne piski i okrzyki.

Jedna jest kopja drugiej. To mama, której ubył piętnaście kilo i córa, której te same piętnaście kilo przybyło.

Robi się rwetes nie do opisania. Panie gestykulują i wykrzykują: Ach! i och!, pies, który przejechał, również wypoczęty i opalony, obiega wszystkie pokoje, udając zawzięcie, przerażony kanarek rzuca się w klatkę, tylko stara służąca Marynia stoi na ubo-czu i jest wzruszona. Ma nawet łzy w oczach, lecz nie są to łzy radości — wprost przeciwnie; Marynia wie, że z chwilą przybycia tych istot, skończyły się jej ciche wywczaszy i oto teraz stoi na progu piekła.

Najciszej się zachowuje szczupły, i blade pan domu. Rozmyśla w tej chwili o swoim urlopie, który wypadnie tego roku aż w listopadzie. Po chwili wszystkie szafy i szuflady stoją otworem. Kółkuje się w łazience, spiżarni i kuchni.

Nie przestając krzyczeć, panie dzieli się swymi wrażeniami z panem domu i starą Marynią.

— Ach, nie macie pojęcia, jakie tam nasza Julka miała powodzenie. Pilot z Brukseli, o którym do was pisałam, stara się o jej rękę... teraz pojechał do Brukseli i ma tu wrócić...

— Mamusia miała większe powodzenie — wtrąca córa — do mamy zalecał się cudny Hiszpan, starszy, szpakowaty... i młody śliczny inżynier z Łodzi...

Zazdrościłam ich mamie — Przesała, przesała, jestem za stara na zalecanki...

Jur.

5-letni chłopiec

Uratował życie dziewczynce

W tych dniach w Austrii zdarzył się niezwykle wypadek. 5-letni chłopczyk Janek Lackner, syn właściciela sklepu, bawił się nad strumykiem z 4-letnią Gretą Klaus. W pewnym momencie dziewczynce obsunęła się nóżka i maleństwo wpadło do wody i zaczęło tonąć.

Dzielnicy Janek Lackner, który był wyższy nieco od swojej towarzyski, wkończył również do strumyka z całych sił schwycił dziewczynkę jedną ręką za sukienkę, drugą zaś rączką trzymał się silnie wielkich korzeni drzewa rosnącego nad wodą. Na jego krzyk i wzywanie pomocy zbiegli się sąsiedzi i wyciągnęli obydwój, dziewczynkę i jej 5-letniego wybawcę.

Mała była nadzwyczaj przerażona, podczał gdy chłopiec zachował zdumiewającą odwagę i zimną krew.

NAJTRWAJSZE CZAPKI SZKOLNE

R. CIESZKOWSKI
Marszałkowska 81-b (róg Hożej)
Nowy Świat 54 (obok hot. „Savoy”).

Krawiectwo w szkołach żeńskich

W wiedeńskich gimnazjach dla dziewcząt wprowadzono przymusową naukę krawiectwa. Dziewczęta będą się uczyć kroju i szycia i będą z tej umiejętności zdawały egzamin tak samo, jak i z innych przedmiotów. Niewątpliwie niejedną z nich przyda się ta praktyczna wiedza i niejednokrotnie będą ją mogły zastosować z pożytkiem.

FRANCIS DE CROISSET

DAMA z MALAKKI

POWIEŚĆ

Herbert Carter popatrzał na nią długo, próbował się uśmiechać, chciał coś powiedzieć, wreszcie wziął kapelusza, leżący na krześle i wyszedł. Audrey stała przez chwilę, nie odrywając oczu od drzwi. W końcu otworzyła okno.

— Za dużo tu dymu — usiadła koło pani Turpin.

— Nie kochasz go?

— Nie.

— On ciebie kocha i wygląda na pocziwego chłopca.

— Nie byłbyś szczęśliwi — odparła Audrey.

— Moje dziecko — mówiła pani Turpin — mogłabym być twoją matką i mam nadzieję, że nie będziesz uważała tego co powiem za brak delikatności. Trzeba się dobrze zastanowić. Posada, którą obejmiesz jest przyzwolta, ale mało płatna. Niema w niej żadnych widoków na przyszłość, a najpiękniejsza kariera kobiety to jednak macierzyństwo i małżeństwo. Czy ten młody człowiek nie ma żadnej posady?

— Owszem, jest lekarzem wioskowym.

— Ależ to bardzo przyjemnie — zawołała pani Turpin. — W tych niepewnych czasach, to piękne stanowisko. Miałabyś bardzo miłe stosunki towarzyskie: obiady w kasynie, tańcówki, miałabyś... dzieci, własną rodzinę. Umilkła zażenowana wzrokiem Audrey.

— Kochana pani — mówiła dziewczyna, uśmiechając się — przyznam się pani, że właśnie spowodu tego całego programu niechęć wyjść za niego.

— Pani Turpin wytrzeszczyła oczy.

— Bo widzi pani, Herbert jest przeciwnikiem tego, co ja lubię. Takie ma ciasne pojęcie o życiu! Taki jest konwencjonalny. Jest to typ drobnego mieszczaństwa angielskiego, a ja nie cierpię mieszczaństwa!

— Pani Turpin drgnęła i cofnęła rękę. Audrey ujęła ją serdecznie w rękę.

— Chciałam przez to powiedzieć, że nienawidzę miernoty wszelkich miernot, a on jest miernotą. Z nim wszystko byłoby mierne i pospolite; trudno zająć daleko na gaży lekarza, szczególnie, o ile się ma dzieci. Woleć cierpieć nędzę sama, niż mieć rodzinę i wiecznie się w wszystkim ograniczać. Jak się jest samą, to można znośić wszystkie dokuczliwe kłopoty, drobne i upadające przyrostki, bo, jak się jest samą, to można nienienić gardzić. Ale jak się jest we dwoje, lub gorzej, w kilkoro... O, nie! Przytem nudzi mnie, a ja wolę smutek od nudy. Wie pani, ja wolę jeszcze poczekać.

— To bardzo ładnie — szepnęła pani Turpin, czując się, niewiadomo dlaczego, urażona — ale czekać na co?

— Nie wiem — wymijająco odparła Audrey — ja zawsze myślę tak: wszystko albo nie. Widzi pani, ja jestem Irlandką, chwilami zdobywam się na rozsadek, ale znowu czasem... Chciałabym jechać gdzieś daleko, podróżować, żyć... I śmiała się niekiedy takie rzeczy...

Pani Turpin patrzyła na nią z zaciekawieniem bardzo. Jaka daleka wydała się jej miss Greenwood od osoby, którą opisywała pannom Tremor.

— Nie będziemy już o tem więcej mówić — zdecydowała Audrey i, zapalwszy papierosa, podsunęła pudełko pani Turpin.

— Dziękuję, nie palę. Niech pani pozwoli sobie powiedzieć, że panny Tremor nie powinny pani widzieć palącej.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.63.52 (dla polityczny i ekonomiczny); 6.36.00 (dla miejski i liter.-art.); 6.66.53 (miedzymiastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefon: Administracja i Zgoda 691.66; Prenumerata 691.65.

Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto P. K. C. Nr. 13350.

PRZEDTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Czerwona 26, tel. 136.

PRENUMERATA: w kasie (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. Lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobnie po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.